

## KRUK: Wyrwane Serce

Prawdziwa miłość jest potężniejsza niż Śmierć. Tak mówią.

Kolejny deszczowy wieczór w tym zapomnianym przez Boga mieście. Białe drzwi, ukrywające za sobą korytarz i recepcję ostrego dyżuru miejskiego szpitala otworzyły się z hukiem. Siła uderzenia była ogromna. Echo roznosiło się po całym budynku. Przez drzwi wpadł młody chłopak. Miał ponad dwadzieścia lat. Cały przemoczony. Zdyszany. Ubrany w czarne spodnie i czarny golf. Mokry ubiór przylegał do jego ciała. Trzymając się za ramię, zbliżył się do okienka, w którym rejestrowano pacjentów.

– Dziewczyna... – wydyszał, a krople wody ściekały z jego długich, rozpuszczonych włosów i powolnym rytmem uderzały o blat – Dziewczyna... Dziewiętnaście lat... Pobicie... Gdzie jest?

– Pan z rodziny? – zapytała obojętnie stara pielęgniarka pełniąca dyżur.

– Gdzie... – mówił, niespokojnie łapiąc kolejne oddechy – Gdzie... Ona... Jest?

– Jeśli nie należy pan do rodziny, informacji nie udzielamy – powiedziała, głosem pełnym obojętności.

– GDZIE ONA JEST!!! – krzyknął, a w głosie jego prócz gniewu, słychać było rozpacz, ból i bezsilność. Z całej siły uderzył pięściami w blat przy okienku. – GDZIE ONA JEST!!! – krzyczał.

Obojętność dyżurnej frustrowała go bardziej i bardziej. Widział, jak stara, gruba baba o świńskich oczkach spokojnie popija kawę. Rozbił szybę jednym uderzeniem pięści. Złapał kamionkowy kubek dłonią, nim pielęgniarka ponownie przyłożyła go do ust. Samymi palcami zmiażdżył go, a płynna zawartość rozlała się po biurku.

– OIOM. Piąte piętro – powiedziała przerażona pielęgniarka, patrząc w blade, zdeterminowane oblicze tego mężczyzny.

Ruszył natychmiast. Napędzała go adrenalina i uczucie, że traci najważniejszą osobę swojego życia. Nie zwrócił nawet uwagi na to, że jego prawa dłoń jest pokaleczona. Biegł holem przed siebie. Mijał ludzi. Nie dostrzegał ich twarzy i spojrzeń. Nie wiedział, że patrzą na niego jak na obłąkańca. Za sobą zostawiał tylko mokry ślad deszczówki, zmieszanej z kroplami jego krwi.

Biegł w kierunku wind. Umysł mówił mu, że nie ma czasu na czekanie. Rozum i serce podpowiadały, że każda sekunda jest na wagę złota. Katem oka dostrzegał drzwi klatki schodowej. Wbiegał po schodach. Długimi susami pokonywał jednocześnie po dwa, nawet po trzy stopnie. Mijał pielęgniarzy i salowe. Ten bieg, ten szalony bieg wyglądał jak taniec, między kroplami deszczu. Deszczu, który w tym mieście nigdy nie przestawał padać.

Trzecia, czwarta, piąta kondygnacja. Siłą pędu otworzył drzwi klatki schodowej. Kilka sekund później i ordynator OIOM'u skończyłby ze złamanym nosem. Zatrzymał się zdezorientowany. Rozejrzał się. Zauważył wejście głównego korytarza prowadzącego na OIOM.

Nie myślał. Działął. Biegł, mijając kolejnych ludzi.

Zatrzymał się dopiero, gdy dostrzegł znajome twarze. Zrozpaczone znajome twarze. Nikt nie był w stanie udzielić mu odpowiedzi. W oczach niektórych dostrzegł wręcz czystą wrogość i niechęć do swojej osoby. Poczucie winy wypełniło go w całości. Spojrzenia, które się na nim koncentrowały tylko potęgowały to uczucie. Zauważył że nie tylko On obwinił siebie za to, co się stało.

Drzwi do sali zamknęły się z delikatnym szcękaniem. Z sali wyszedł stary lekarz. Krótkie siwe włosy, rogowe okulary. Jego twarz była miła. Smutna, bo widział cierpienie ludzi.

– Co się stało? Co z Nią? – zapytał, trzymając nerwowo lekarza za klapy kitla. Palce zacisnęły się tak, jakby chciały rozszarpać białe płótno. Patrzył lekarzowi prosto w oczy. Widział w nich jednak tylko brak nadziei.

– Pan z rodziny? – powiedział spokojnym głosem, w którym słychać było współczucie – Pacjentka została brutalnie pobita. Urazy są bardzo poważne. Połamane kości. Poobijane narządy wewnętrzne. Uszkodzone serce. Podtrzymujemy jej funkcje życiowe i szukamy dawcy serca. Są niewielkie szanse, że o własnych siłach z tego wyjdzie. Policja szuka sprawców. Tyle wiemy.

– Potrzeba serca? – zapytał, a właściwie stwierdził. – Czy cokolwiek innego Jej zrobiono?

– Tak, potrzebujemy dla niej nowego serca. I to jak najszybciej. Czekamy aż przetransportują ją do nas z sąsiedniego miasta – lekarz mówił to ze stoickim spokojem. – Pyta pan, czy ją zgwałcono? Nie ustaliliśmy jeszcze tego. Byliśmy zbyt zajęci ratowaniem jej życia.

Podszedł do szyby dzielącej go od Niej. Patrzył. Pokaleczoną, wilgotną dłonią dotknął szyby. Pod opuszkami palców poczuł tylko chłód tafli szkła. W miejscu, gdzie stykały się z szybą, pozostawił tylko wilgotny ślad. Patrzył na Nią. Kosmyk Jej włosów wystawał spomiędzy bandaży. Swoje spojrzenie wbił w ziemię. Dłonią ściśniętą w pięść, uderzył szybę. Zadźwięczała głucho. Czuł się potworem. Czuł, że to Jego wina. Że zawiódł najważniejszą osobę swojego życia. Obwinił się za to, że pozwolił Jej na ten samotny spacer wieczorową porą. Poczucie winy pochłaniało go w całości. Był zrozpaczony sytuacją. Po Jego bladym jak papier policzku pociekła samotna łza.

Spojrzał na lekarza, który dalej tłumaczył mu jak poważna jest sytuacja.

– Weźcie moje... – powiedział pewnym głosem.

– Nie możemy... – powiedział speszony lekarz. – Eutanazja, nawet w szczytnym celu, jest nadal nielegalna. Obowiązuje mnie przysięga Hipokratesa...

– WEŹ MOJE SERCE! – krzyknął a w głosie słychać było determinację. Jego twarz przybrała na chwilę wyraz potwornej maski. – To jedyna opcja, żeby Ją uratować. Czy Pan tego nie pojmuje? Każda sekunda jest na wagę złota!

– Nie... Nie mogę... – powiedział przerażony lekarz, widząc furię w oczach tego młodego

człowieka.

Zdesperowany, odepchnął delikatnie lekarza i spróbował wejść do Niej. Stary doktor starał się mu zastąpić drogę, przeraziło go jednak spojrzenie pełne szaleństwa. Poczul tylko jak został odepchnięty. Widział jak drzwi do sali otwierają się.

Spokojnym, delikatnym krokiem wszedł do Niej. Patrzył. Wyciągnął dłoń i końcówkami palców, delikatnie musnął Jej policzek. Jej powieki drgnęły niemal niezauważalnie.

– Kocham Cię najdroższa – mówił szeptem do Jej ucha. – Wybacz, mi że Cię zawiodłem. Moje życie bez Ciebie, to tylko marna egzystencja i oczekiwanie na śmierć. Chcę żebyś żyła. Żyj pełnią szczęścia...

Odsunął usta od Jej twarzy. Nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał się po sali. Zauważył białą szafę z szufladami. Spokojnie, metodycznie, szuflada po szufladzie, sprawdzał jej zawartość. Znaleziony skalpel ukrył w lewym rękawie bluzy. W momencie, gdy pojawili się dwaj rośli salowi, on spokojnym krokiem opuścił pomieszczenie. Zatrzymał się ponownie przy oknie obserwacyjnym. Mówił do Niej, ale z jego ust nie padały żadne dźwięki. Zamknął oczy. Obrócił się i odszedł.

Zmierzał ku okienku informacyjnemu OIOM'u. Kątem oka dostrzegł stolik, a na nim deklaracje dawcy organów. Czarnym długopisem znalezionym na stole, wypełnił pośpiesznie formularz. Dokładnie zapisał informację, że mają go nie ratować, a jego serce natychmiast oddać Jej. Zapisaną kartkę trzymał kurczowo w lewej dłoni. Wiedział, co go czeka. Poświęcał własne życie. Nie napędzało go poczucie winy, ból czy gniew, tylko uczucie szczerzej miłości.

Stał na samym środku poczekalni. Wyjął z rękawa skalpel. Zgromadzeni ludzie nie zauważyli tego co robi. Poranioną prawą dłonią odsłonił swoje lewe przedramię. Tą samą dłonią wykonał błyskawiczne i głębokie nacięcie wzdłuż wewnętrznej strony przedramienia. Patrzył, jak srebrny skalpel rozciął piktograficzny tatuaż Kruka. Czul ból cięcia. Czul jak upływa z niego krew. Padł na kolana i odpłynął.

Zauważył to lekarz, który jeszcze przed chwilą mówił mu o stanie pacjentki. W ułamkach sekundy znaleźli się przy nim sanitariusze. Patrzyli na to, co zrobił. Widzieli, że nie ma dla niego ratunku. Lekarz wyjął kartkę zaciśniętą w jego dłoni.

– Szaleniec... – powiedział spokojnie, a w jego głosie słycać było nutę wzruszenia. – NA SAŁĘ OPERACYJNĄ Z NIM! PRZYGOTOWAĆ PACJETKĘ Z 1A DO TRANSPLANTACJI SERCA. MAMY DWACĘ! – wykrzykiwał rozkazy lekarz.

Doktor tylko przez chwilę spoglądał na czerwoną kałużę.

– Dopiął swego – powiedział, zmierzając szybkim i energicznym krokiem, żeby przygotować się do operacji.

Ostatni raz razem. Na jednej sali operacyjnej. Leżeli obok siebie. Lekarze patrzyli na nich. Wymieniali komentarze, o tym, jak wielkiego poświęcenia wymagało to, co zrobił. Jak wielkiego

uczucia wymaga. Mimo, że był już tylko pustym ciałem, podziwiali jego odwagę i upór.

W chwili, gdy jego serce zaczęło bić w jej piersi, z jego oczu popłynęły krwiste łzy. Z zaciśniętych ust spłynęła kolejna stróżka krwi, która pokryła jego usta i powolnie pociekła po policzkach. W ułamkach sekundy posoka na jego twarzy zaschła i szerniała. Krew utworzyła na jego twarzy dwie pionowe linie na policzkach i dwa delikatne łuki zaczynające się w kącikach ust. W połączeniu z jego bladą skórą, dało to efekt teatralnej maski. Pielęgniarka próbowała to zmyć, ale jej trud był daremny. Krew nie schodziła. Była jak tatuaż. Nie zmywalna. Jego twarz była teraz niczym maska upiornego błazna.

Deszcz wciąż padał. W niewielkim okienku tuż nad ziemią wylądował ogromny, czarny ptak. Patrzył swoimi ślepiami po kostnicy umieszczonej w sutenerze szpitala. W białej, sterylnej posadzce odbijało się światło mrugającej niestabilnie jarzeniówki. Kruk uderzył kilka razy dziobem w okno, następnie pchnął je i wleciał do sali. Wylądował na posadzce przy szafie chłodniczej. Zbliżył się do szuflady. Swoim kruczym wzrokiem obserwował drzwiczki. Jakby czytał opis. Uderzył dziobem trzy razy. Minęła chwila. Potężne uderzenie od wewnątrz. Jedno. Drugie. Odleciał, gdy trzecie uderzenie wyrzuciło drzwi szuflady z ogromną siłą.

On wysunął półkę od wewnątrz. Siadł i rozglądał się po sali. Widział tylko czarne ptaszysko siedzące na stole do sekcji zwłok. Zdezorientowany szukał cięcia na lewym ramieniu – śladu swojej śmierci. Jedyne jego tatuaż sugerował, że był rozcięty. Zaczął się trząść. Nie rozumiał, co się z nim działo. Patrzył na Kruka. Ich spojrzenia spotykały się przez chwilę. W ułamku sekundy dotarło do niego wszystko. Ubrany tylko w spodnie, chwiejnym krokiem próbował opuścić kostnicę. Czuł zimne kafelki pod bosymi stopami. Szedł korytarzem. W pół mroku piwnicy, odbijał się od ściany do ściany. Objął tors ramionami. Starał się ustabilizować. Zgięty w pół dostrzegł swoją twarz, w błyszczącej powierzchni kafelków. Na jego obliczu rysował się szaleńczy uśmiech. Zaczął chichotać.

Jego ciało nabierało koordynacji. Zaczął coraz pewniej stawiać kolejne kroki, czuć każdy mięsień, każde ścięgno pod skórą. Odczuł przyływ ogromnej, niewyjaśnionej siły. Kruk usiadł mu na prawym barku. Powoli, pewnym krokiem, weszli na ostry dyżur. Dostrzegł ludzi i przerażenie jakie budził. „Dobrze” – pomyślał. – „Mam wzbudzać strach w tych, którzy zrobili Jej krzywdę. Mam ich zniszczyć. Wysłać na tamten świat”. Przeszedł obok okienka, które rozbił. Stara pielęgniarka upuściła kubek, który z trzaskiem rozbił się o ziemię. Zatrzymał się na chwilę i spojrzął na kalendarz.

– Minęły aż dwadzieścia cztery godziny... – powiedział, dokładnie go analizując – „Im” zostały tylko dwadzieścia cztery godziny życia.

Ruszył, szybkim i płynnym krokiem. Zbliżył się do drzwi. Delikatnie dotknął je opuszkami

palców. Przypomnił sobie ostatni dotyk jej policzka. Przez jego umysł przepłynęła makabryczna wizja tego, co Jej uczyniono. Na twarzy znowu pojawił się ten szaleńczy uśmiech. Widział tych, którym życie dzisiaj odbierze. Widział ich twarze. Każdy detal. Odczuwał Jej ból. Słyszał Jej myśli. Obiema dłońmi otworzył na oścież skrzydła wejścia ostrego dyżuru. Krople deszczu uderzały rytmicznie o Jego ciało.

Stare, skrzypiące schody, w zapomnianej przez świat kamienicy. Ściany pokryte brązową odchodzącą farbą. Zbliżał się do miejsca, w którym był szczęśliwy. Szczęśliwy z Nią. Przy Niej najgłębsze otchłanie piekła były rajem. Dotknął dłonią klamki. Przypomnił sobie wszystko. Wspomnienia wróciły do Niego wyraźne jak film. Widział każdy Jej uśmiech, każde Jej radosne spojrzenie. Widział każdą ich sprzeczkę, która kończyła się szczerym śmiechem. To jak Ona nieudolnie próbuje gotować i jak w końcu oboje gotują razem.

Wszedł do mieszkania. Było smutne. Puste. Ciche. Bez nawet najmniejszego szmeru. Wszedł do ich wspólnej sypialni. Kolejne fale wspomnień. Zbliżył się do Jej lustra garderobianego. Patrzył przez chwilę na zdjęcie w lewym górnym rogu. Byli razem. Oboje uśmiechnięci. To zdjęcie zrobiono po Jego pierwszym koncercie z zespołem. Wręczył Jej wtedy misia. Miał tego go przez cały występ. Stał na Jego kolumnie. Gdy już mieli schodzić ze sceny, On złapał pluszaka i przekazał go prosto w Jej ręce. Po chwili obracał fotografię w palcach. Czarnym długopisem zapisał krótką notkę, w której mówił, że Ją kocha i prosi o wybaczenie.

W przedpokoju mieszkania znalazł swoje stare, podniszczone glany. Wziął je w ręce i poszedł na balkon. Na poręczy, w strugach deszczu, dostojnie czekał na Niego Jego skrzydlaty opiekun. Stał na relingu, ubrany tylko w czarne dżinsy i buty. Patrzył w dół, na chodnik, po którym pospiesznie poruszali się ludzie. Nie była to najbezpieczniejsza dzielnica. Spojrzał na chwilę w niebo. Szukał gwiazd. Gęste burzowe chmury spowijały jednak cały nieboskłon.

Rozłożył ręce i uniósł głowę do góry. Wszystko w teatralnym geście i manierze. Niebo przecięła srebrna nitka błyskawicy. Spadł. Spadkiem swobodnym szybował w dół. Ku chodnikowi. Jego umysł został oczyszczony. Jedyłą myślą była zemsta na oprawcach ukochanej. Wylądował na chodniku, uginając nogi w momencie, kiedy dotknęły betonowych płytek. Siła z jaką uderzył o ziemię wymusiła na Nim przysiad. Asekurował się dłonią, aby nie stracić równowagi. Cały ciężar ciała oparł na palcach stóp. Wyprostował się i ponownie wybuchł śmiechem pełnym szyderstwa. Kruk usiadł mu na prawym barku. Spacerowym, nieśpiesznym krokiem ruszyli w mrok miasta.

Park miejski znany był ze swojej złej opinii. Nawet w dzień, zamiast oazą spokoju, był siedliskiem narkomanów, wszelkiego rodzaju prostytutek oraz innego marginesu społecznego. To miejsce nigdy nie należało do najprzyjemniejszych. Ci, którzy próbowali pomóc tym ludziom, z reguły źle kończyli. Nocą, to miejsce stawało się centrum śmierci i zniszczenia.

Samotna ławka w sercu parku. Obok tylko jedna lampa. Żadnych ludzi w okolicy, oprócz siedzącego na tej ławce ćpuna. Wokoło wierzby płaczące smagane kroplami deszczu. Ćpun nie wiedział co go czeka. Był na haju. Jego mózg był zniszczony do granic możliwości po latach brania różnych świństw. „Ona by mu współczuła” – pomyślał.

Latarnia zgasła na chwilę. Gdy ponownie zaczęła świecić, na oparciu ławki siedział On. Ćpun opierał się o nią. Głowę miał przewieszoną tak, że jednym ruchem można było złamać mu kark. Łykał krople wody. Kruk usiadł na barku Ducha. Ćpun spojrzał na towarzysza. On odwzajemnił spojrzenie. Z opóźnieniem dotarło do niego, co go czeka. Zobaczył twarz Śmierci. Swojej własnej Śmierci. Nie zdążył nawet zareagować, gdy jego głowa została zamknięta w stalowym uścisku. Ćpun wił się w konwulsjach bólu. Przez jego zdegenerowany umysł przepływały wszystkie Jej uczucia. Cały ból jaki Jej zadał, bijąc Ją stalową pałką. Czuł ból łamanych kości, stalowy smak krwi w ustach. Ciało ćpuna przestało się rzucać.

– Żałosne... – stwierdził, badając puls narkomana.

Latarnia zgasła.

Stary bezdomny stojący, przy ogniu zapalonym w beczce, spojrzał w niebo. W błysku pioruna zobaczył szybującą między budynkami ludzką postać.

Biegł za majestatycznie szybującym krukiem. Wiatr rozwiewał Jego posklejane deszczem włosy. Biegł. Skakał. Szybował w powietrzu. Błysk na niebie. Błysk w umyśle. Jej uśmiech. Jej iskierki w oczach. Te zielone oczy. Wylądował na dachu kolejnego budynku. Obrócił się i popędził przed siebie niezmiennym tempem.

Stanął przed luksusowym hotelem. Patrzył na majestat tej budowli. Powstała w latach dwudziestych XX wieku. Ten międzywojenny styl był rozpoznawalny. Kruk siadł mu na barku. Weszli do wielkiego holu. Mokre buty zostawiały brudny ślad na czerwonym dywanie. Portier patrzył na Niego. Nie był w stanie zareagować. Widział człowieka, którego twarz wyglądała jak teatralna maska, a spod nie widać było tylko te smutne niebieskie oczy.

Wszedł do windy. Oparł się gołymi plecami o ścianę. Stał twarzą do wyjścia. Winda zmierzała nieprzerwanie na sam szczyt budynku. Jego wzrok utkwiał w podłodze. Drobnym detalem przyniósł kolejną falę wspomnień. Przypomniawszy sobie, jak się pokłócili. Nie była to jedna z wielu sprzeczek, jakie im się zdarzały. To była prawdziwa kłótnia, po której Ona nie chciała z Nim rozmawiać. Pokłócili się o Jego nadopiekuńczość. I o to, że wtargnął w Jej prywatną sferę. Nie uszanował Jej prawa do chwili samotności. „Po cholere sprawdzałem Jej laptopa. Co mnie wtedy podkusiło? Gdybym mógł, cofnąłbym to... To był najgorszy dzień w moim życiu” – pomyślał.

Winda zatrzymała się, a drzwi rozsunęły. Dwie atrakcyjne nastolatki zamieniły się z Nim

miejscami. Nie zwracali na siebie uwagi. One zamroczone alkoholem, On zamroczony zemstą.

Wszedł do apartamentu zajmującego całą kondygnację. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Widział wiele cennych dzieł sztuki. Obserwował wszystko dookoła. Drewniana podłoga z mahoniem. Skórzane fotele i kanapy. Kryształowe kieliszki i butelki z drogim winem w kuchni.

Atletycznie zbudowany mężczyzna spał spokojnie. Ledwie nakryty jedwabną narzutą. Jeszcze nie wiedział, że jest to ostatnia chwila w tym łóżku. On złapał go za kostkę lewej nogi. Zacisnął palce na jego skórze i cisnął nim jak szmacianą lalką w głąb salonu. Mężczyzna uderzył z łoskotem o mahoniową powierzchnię. Otworzył oczy i zobaczył szczupłego chłopaka. Białego jak papier i z twarzą umalowaną jak błazen.

– Czego chcesz? – spytał, będąc jeszcze otumanionym po wyrwaniu ze snu – Kim, albo czym jesteś?

– Ja... – odpowiedział z uśmiechem na twarzy, który obnażał Jego zęby – Ja jestem Zemstą i pragnę tylko twojej śmierci. Pragnę byś cierpiał. Cierpiał jak niewinna dziewczyna, którą pobiłeś i pozwoliłeś by inni Ją krzywdzili.

– Hahah... Tak, ładna była. Jak z obrazka. Po tych kilku razach ode mnie, na pewno zostanie jej ślad...

W chwili gdy kończył to zdanie, On jednym susem znalazł się przy nim. Wysłannik Kruka zaatakował pierwszy. Wywiązała się długa potyczka na pięści. Mężczyzna o atletycznej budowie ciała dorównywał siłą i umiejętnościami Wysłannikowi. Cały apartament został zdemolowany. Dzieła sztuki stały się zwykłymi śmieciami. Klepki podłogi rozrzucone były wszędzie. Z każdą sekundą Atletyczny Mężczyzna słabł. Był tylko człowiekiem. Wysłannik zadawał cios za ciosem. Raz za razem. Atleta ledwie klęczał. Jego twarz przypominała koszmarne dzieło modernistycznej sztuki. Mężczyzna widział jak On się do niego zbliża. Oczy miał zapuchnięte. Widział delikatny krok. Poczł palec wskazujący na czole. Zobaczył co zrobił. Jego ból został spotęgowany po wielokroć. Wysłannik Kruka jednym szybkim ruchem skręcił mu kark.

– To zostawi ślad... – powiedział, wychodząc z zdewastowanego apartamentu.

Kruk prowadził go na Stare Miasto. Najbardziej zdeprawowana i zdewastowana dzielnica. Prawie tak zniszczone jak Park Miejski.

Witryna salonu z tatuażem rozsypała się na drobiny. Razem z tym drobinami przez okno wyleciały dwie postacie. Wytatuowana Gotka i Wysłannik. Wstali równocześnie. Spokojnie i bez zbędnych ruchów. Mierzyli się wzrokiem. Próbowali przewidzieć każdy kolejny ruch adwersarza. Poleciały ostrza, które Wysłannik zbijał delikatnym ruchem. Robił to dwoma palcami prawej dłoni, a lewą rękę trzymał za plecami jak szermierz. Przedrzeźniał ją. Kolejne ostrza zmierzały ku Niemu.

Złapał dwa między palce i niedbałym ruchem odrzucił je w Wytatuowaną. Nie zauważyła momentu, kiedy padła ugodzona własną bronią. Rękojeści wystawały z jej broczącego krwią brzucha i wytatuowanego barku. Zbliżył się do niej. Uniósł jej głowę, trzymając palec wskazujący na jej podbródku. Ich spojrzenia spotkały się.

– Widzę co zrobiłam – powiedziała, wypływając krew. – Nie żałuję tego. Nie cofnę tego. Widać historie o Aniele Zemsty w masce piekielnego błazna są prawdziwe.

Jej oczy zastygły gdy z Jej ust padły ostatnie dźwięki.

Błysk. I kolejny. Deszcz wciąż padał. Pioruny spadały na ziemię. Środkiem drogi z szaleńczą prędkością pędził motocykl. Prowadzący go Długowłosy Harley'owiec nie spodziewał się tego, że to jego ostatnia przejażdżka. Kruk i jego Wysłannik pojawili się nagle przed nim. Jego umysł nie zdążył zarejestrować, kiedy został zrzucony z własnego motocykla. Nie zauważył, że zatrzymał się na wyciągniętym ramieniu Wysłannika. Po chwili dostrzegł postać o przerażającym obliczu. Jego umysł wpadł w panikę. Jedyne o czym myślał, to ratowanie własnej skóry.

Przerażony, próbował uciekać. Pokracznie. Rakiem cofał się pod ścianę najbliższego budynku.

– Czy wiesz, że... – zaczął spokojnie i powoli Wysłannik – skrzywdziłeś o jedną duszę za dużo? Czy wiesz, że teraz Ja przyszedłem po twoje życie?

– Ale mi... – spanikowany Długowłosy szukał pistoletu u boku – Mi kazano... Ja jestem tylko popychadłem...

– Ale nadal jesteś winny. A każdy winny, otrzyma dziś karę.

W kierunku Wysłannika padły strzały. Nie uchylał się przed nimi. Każdy pocisk trafił. Każda rana błyskawicznie się goiła i nie pozostawiając nawet najmniejszego śladu. Wysłannik chwycił za lufę rewolweru. Wyrwał broń jednym ruchem, jednocześnie łamiąc palec wskazujący Długowłosego. Wysłannik patrzył mu w oczy. Zbliżał się do niego. Delikatnie i powoli, zoczył jego czoło. Palcem wskazującym rysował mu niewidoczny krzyż. Pokazywał mu, co uczynił. Pokazywał wspomnienia Jego Ukochanej. Strzelił mu w sam środek czoła.

Kruk usiadł mu na barku. Patrzył na truchło oprawcy. Wysłannik obrócił się swobodnie i ruszył środkiem drogi, nie zwracając uwagi na ruch uliczny.

Najstarsza kapliczka w mieście. Nikt nie wie dokładnie kiedy i kto ją wznosił. Stare, ciężkie wrota otworzyły się z trudem. Przy ołtarzu, na klęcznikach modlili się Ksiądz i Zakonnica.

– Czekaliśmy na Ciebie – rzekł spokojnym głosem Ksiądz. – Wiemy wszystko.

– Więc wiecie, – zaczął mówić Wysłannik – że wasze życie na tym świecie dobiega końca...

– Nie byłabym tego taka pewna – powiedziała Zakonnica z pewnością siebie. – Wyjaśnimy



ci coś, zanim wrócisz na tamten świat. Nie skończysz swojej zemsty. Wiemy, że wybiłeś wszystkich innych. Wybiłeś nasze kozły ofiarne.

– Mam pytanie – powiedział Wysłannik, mierząc ich wzrokiem. – Czy wy nie powinniście być tymi dobrymi?

– Chłopcze, chłopcze, chłopcze – zaczął Ksiądz, a w głosie jego słychać było pogardę – Świat jest zły. Więc i my jesteśmy. A to, co widzisz, to tylko iluzja. Ułuda i kłamstwo. To tylko sprytne przebranie. Bo kto będzie podejrzewał Księdza i Zakonnice o sterowanie półświatkiem tego miasta?

– Ciekawie się zapowiada – mówił Wysłannik, a na Jego twarzy malował się ten sam, psychotyczny uśmiech. – Urwę łeb potworowi, który niszczy to miasto. Nie jest to moim głównym celem...

Zanim skończył się wypowiadać, Ksiądz i Zakonnica otworzyli do Niego ogień z pistoletów pół automatycznych. Wysłannik schował się między ławy. Czekał tylko na dogodny moment.

Wiatr wpadł do kapliczki. Wszystkie świece zgasły. Ksiądz i Zakonnica strzelali na oślep. Mrok kaplicy co chwilę rozświeślały błyski piorunów.

– Jesteście potworami z ludzkimi twarzami – słychać było głos w mroku.

Ksiądz wraz z Zakonniceą próbowali odnaleźć Go w mroku. Nie wiedzieli, że wyrok już zapadł. Od śmierci dzieliło ich tylko kilka chwil. Wysłannik Kruka położył im dłonie na barki i jednym, szybkim ruchem obrócił ich w kierunku ołtarza. Błysk. Spojrzeli w twarz piekielnego błazna. Błysk. Widzą figurę Chrystusa za plecami Anioła Zemsty. Błysk. Widzą jak Jego dłonie zaciskają się na ich szyjach. Błysk. Widzą wspomnienia. Czują wspomnienia. Błysk. Ich krzyki kończą się wraz ze słyszalnym chrupnięciem w ich karkach.

– Będiesz żyła – mówił, płacząc z radości.

Patrzył na swoją Ukochaną. Patrzył jak z każdą sekundą Jej skóra odzyskuje kolor.

– Pomściłem Twoją krzywdę – mówił. – Pomściłem to, co ci zrobili.

Wychodząc z sali, w której leżała, spojrzał na Nią ostatni raz. Wrócił jeszcze na chwilę. Ucałował w czoło i szepnął coś do ucha. Dotknął opuszkami palców Jej policzka i wyszedł.

Deszcz przestał padać. Wiatr rozgonił chmury. A Ona otworzyła oczy...

Autor: Błażej Smerdel